Zeszyt 19. Rok I.



Lwów 6. Czerwca 1886. Tygodnik belletrystyczny. Wychodzi co niedzielę.

Przedpłata wynosi: we Lwowie rocznie złr. 7.40 — półrocznie złr. 3·70 — kwartalnie złr. 1·85. — Z przesyłką pocztową rocznie 8 złr. — półrocznie 4 złr. — kwartalnie 2 złr. — Za granicą rocznie 16 marek.

Adres redakcji i administracji:
Lwów, ulica Jagiellońska l. 16.
(Kantor „Drukarni Polskiej“).

Redaktor i wydawca STANISŁAW MANIECKI.

CYWILIZATOR

POWIEŚĆ

Wincentego Juliusza Wdowiszewskiego.

(C. d.) Bożycki wstał z krzesła. W starym szlachcicu zaczęła się budzić duma, gdy widział że go Bodmer z góry i pogardliwie traktuje.

— Po takiem przyjęciu — rzekł rozdrażniony — nie pozostaje nic, jak tylko pożegnać pana. Widzę bowiem, że nawet najzwyklejszy interes nie powiódłby się wobec gwałtownego usposobienia pańskiego...

— Mylisz się pan — zapewnił Bodmer. — Tylko w jednej sprawie, w sprawie mojego pochodzenia mógłbym być gwałtownym; gdzie zaś idzie o interes jestem zimny jak lód i rozsądny jak sam rozsądek..... Proszę usiąść.

Gdy Bożycki usiadł napowrót, Bodmer także zajął krzesło.

— Jakiż interes sprowadza pana? — Na słowo: interes położył znaczący nacisk.

— Interes pieniężny. Potrzebuję znaczniejszej sumy. Chwilowo zabrakło mi całkowicie gotówki, a że spekulacje moje nie mają u bankierów warszawskich wiary, zamknięto mi kredyta...

— Bardzo rozsądnie postąpiono — wtrącił sarkastycznie Bodmer. — Giełda jest lichą spekulacją.

— Zkąd pan wiesz, że gram? — zmięszał się Bożycki.

— To do rzeczy nie należy. Ile pan potrzebuje?

— Potrzebuję 40,000 rubli...

— Ładna sumka.... — zauważył Bodmer, bawiąc się ołówkiem.

— Udałem się do pana, bo gdzieindziej nie uzyskałbym tak prędko żądanej kwoty bez hipotecznego zabezpieczenia.....

— Dziwi mnie jak pan, mogłeś wpaść na myśl zaciągania pożyczki u mnie? Wszakże ja nie jestem bankierem, pożyczaniem pieniędzy się nie trudnię..... Jeślibym dla pana uczynił wyjątek... z powodów nie dających się bliżej określić..... to i w tym razie nie dałbym pieniędzy bez hipoteki. Mnie nie wolno bawić się w dobroczynność; u mnie każdy grosz wydany musi mieć odpowiednie pokrycie w dochodach. W interesach nie powoduję się żadnemi sentymentami, nie bawię się w romanse... dla tego żądam realnej poręki...

— Tej dać nie mogę!... Moja pożyczka musi być tajemnicą. Jeśli mi pan nie pożyczysz, jestem zrujnowany! — Bożycki złożył błagalnie ręce, głos jego drżał wzruszeniem. — Panie! Henryku! Zlituj się! Jeśli jutro nie pokryję w Wiedniu różnicy 30,000 reńskich, stracę 200,000, cały obecny mój majątek...

— Pomyśl pan o zabezpieczeniu pożyczki, a w tej chwili dam przekaz na jaki dom bankierski..... To moje ostatnie słowo — odpowiedział Bodmer na wykrzyk Bożyckiego.

— Człowieku! Nie masz ani odrobiny serca! — zawołał zrozpaczony starzec.

— Nie mam — rzucił ironicznie Bodmer — nie odziedziczyłem po ojcu....

— Jeszcze szyderstwo! — wyjąkał Bożycki.

— Nie panie — zimno objaśnił Bodmer — odpowiedź na wykrzyknik zupełnie spokojna. Mówiłem panu, że w interesach jestem zawsze spokojny... Czy pan wprost z Warszawy przybywa? — zapytał po chwili swego gościa.

— Od kilku dni bawię u mojego przyjaciela Bzowskiego i tam mnie doszła depesza, skutkiem której muszę zaciągnąć pożyczkę...

Usłyszawszy nazwisko swego sąsiada, Bodmer zwrócił się zaciekawiony do gościa, a oko jego żywiej zabłysło.

— Bzowski jest przyjacielem pana? — powiedział z zajęciem. — Jego hipoteka zupełnie czysta. Proś go pan o poręke, a w tej chwili dam przekaz na żądaną sumę.... O! pan Bzowski byłby dla mnie aż nadto wystarczającym ręczycielem.... Coś się pan długo namyśla... — dodał po chwili, gdy Bożycki milcząco rozważał położenie.

— Za to gruntownie! Czy mogę liczyć na to, że tajemnica układu zostanie między nami?

— Jeśli pan o tem wątpi, zakończmy rozmowę...

— Więc słuchaj pan. Hipoteka Bzowskiego jest dotąd czysta, ale mimo to, może na niej każdej chwili zaciężyć dług 40,000 rubli. Bzowski winien taką sumę... mnie...

Wykrzyk zdziwienia był jedyną głośną oznaką natężonej uwagi Bodmera.

— Nikt o tem nie wie — mówił dalej Bożycki — i wiedzieć nie powinien. Ponieważ mnie obecnie potrzeba pieniędzy, robimy przyjacielski układ o odstąpienie mi Bzowa, którybym zaraz sprzedał. Mam przy sobie skrypta Bzowskiego, chciej je pan zobaczyć...

Dobył z pugilaresu kilka arkuszy i położył je na biurku. Bodmer uważnie je odczytał. W miarę czytania twarz jego nabierała wyrazu zadowolenia i chytrości. Bożycki z niepokojem oczekiwał rezultatu badania.

— Rzeczywiście... — cedził przez zęby Bodmer — najformalniejsze skrypta dłużne... Uprawniają do hipotekowania się na Bzowie. Przyjąłbym je za poręczenie — zakonkludował stanowczo.

Bożyckiemu spadł kamień z serca.

— Ja zaś oddałbym je pod warunkiem, że nikt oprócz pana widzieć ich nie będzie i o nich się nie dowie. Cierpiałaby na tem duma mojego przyjaciela. Termin oddania pożyczki oznaczmy za miesiąc.

— Lepiej na wszelki przypadek przydłużyć go do dwóch miesięcy — zrobił uwagę Bodmer. — Ja i trzy poczekam,

— Nie potrzeba. Jestem pewny, że oddam za miesiąc.

— A gdybyś pan oddać nie mógł? — zapytał Bodmer.

— Ewentualność ta nieprawdopodobna, ale skoro pan żądasz, oświadczam, że w razie niestawienia się na termin, przysłuża panu prawo zrobienia z tych skryptów użytku. O to tylko proszę, abyś ich pan nie sprzedawał trzecim osobom, ale osobiście zaprezentował Bzowskiemu i z nim osobiście się układał... Są to wszystko czcze przypuszczenia, ale w interesie tak delikatnym wszystko omówić i ułożyć wypada...

— Rozumie się — potwierdził Bodmer.

— Gdy pożyczkę w terminie zwrócę, skrypta wracają do mnie i także nikt nie powinien wiedzieć, że kiedykolwiek były u pana. Jeżeli pan na takie warunki przystaje, proszę o pożyczkę.

— Warunki są do przyjęcia. Dyskrecji mojej możesz pan być pewny...

— Zatem układ stoi? — zapytał Bożycki, wstając z krzesła.

— Na jaki dom mam wystawić przekaz? — zapytał krótko Bodmer, zamiast odpowiedzi.

— Na który z wiedeńskich....

— Napiszę zatem przekaz do banku narodowego w Wiedniu...

— Dobrze.....

Bodmer zasiadł do pisania, tymczasem Bożycki wyszedł na terasę i otarł pot z czoła. Był rzeczywiście uznojony. Rozmowa z Bodmerem dużo go kosztowała. Nie wystawiał go sobie tak twardym i nieugiętym, jadąc do niego, tymczasem rzecz poszła trudniej jak myślał. Za to był pewny, że cała rzecz pozostanie tajemnicą. Bodmer zaimponował mu odrzuceniem nazwiska, czuł że ma do czynienia z człowiekiem honorowym. Cieszyło go to. Cieszyła go także własna dyplomatyczna zręczność. Pozbywa się skryptów a przecież posiądzie Marją. Postara się o przyspieszenie ślubu... Patrząc z terasy na bzowski dwór, starzec ten uśmiechał się do swych marzeń. Uprzytomniał sobie śliczną Maryjkę, unosił się w myśli nad wszystkiemi wdziękami ciała, delektował harmonją jej kształtów, oczy jego świeciły fosforycznie jak stare próchno; był w nich taki zasób lubieżności, że stał się wstrętnym, ohydnym, ten starzec nad grobem, a westchnienie, które poruszyło jego zeschłą piersią, świadczyło, że w tej chwili radby odmłodnieć o jakie lat trzydzieści, że oddałby całe życie za jeden dzień młodości.

Z tych rozmyślań obudził go Bodmer, który oznajmił że przekaz gotów. Bożycki zbliżył się do biurka, wziął podany przekaz, odczytał go i schował go do pugilaresu.

— Dziękuję, serdecznie dziękuję.... Wybawiłeś mnie pan z wielkiego kłopotu.

Bodmer skłonił się zimno. Chowając do szuflady skrypta Bzowskiego, miał twarz satyra. Bożycki wciągał rękawiczki.

— Za miesiąc będę u pana niezawodnie. Czy już wszystko załatwione?

— Mała formalność — powiedział Bodmer, podsuwając Bożyckiemu arkusz papieru, na którym przed-

tem skreślił kilkanaście wierszy. — Proszę o podpis na tym rewersie, który opiewa, że po upływie miesiąca, t. j. do dnia 9. września 1874 r. zwrócisz mi pan wypożyczoną kwotę 40,000 rubli, za odebraniem odemnie skryptów brzmiących na tę sumę, a wystawionych przez pana Onufrego Bzowskiego. W przeciwnym razie skrypta wymienione po dniu 9. września 1874 r. stają się moją własnością, bez możności późniejszego odkupu...

Bożyckiego przeszły mrówki, gdy Bodmer podał mu pióro, a patrzył na niego dziwnie przejmującym i nakazującym wzrokiem. Drżącą ręką chwycił za pióro i podpisał. Stojący za nim Bodmer szyderczo się uśmiechał.

— Jesteśmy gotowi — rzekł Bożycki, kładąc pióro. — Nie ładnie to uciekać tak szybko, ale pan mnie wytłómaczysz. Muszę natychmiast jechać kurjerskim pociągiem do Wiednia. Jeszcze raz dzięki i do widzenia za miesiąc...

Chciał Bodmerowi podać rękę, ale widząc, że ten o serdeczniejszem pożegnaniu nie myśli, mając prawą rękę założoną za klapę surduta, skłonił się tylko i skierował ku drzwiom. Bodmer postąpił za za nim kilka kroków, a gdy Bożycki jeszcze raz głowę odwrócił ku niemu, Bodmer skłonił się.

— Żegnam pana — powiedział kłaniając się — a proszę pamiętać, żem w interesie zimny jak lód i nieubłagany jak fatum.

Ledwie się za Bożyckim drzwi zawarły, zimny, spokojny dotąd Bodmer schwycił się za serce, a blada twarz jego skurczyła się niewypowiedzianym, strasznym bólem. Błędnem okiem spojrzał przed siebie, drżał febrycznie i musiał się oprzeć o ścianę, aby nie upaść.

Takie spotkanie drugi raz w życiu! Pierwszy raz widział go przed pięciu laty, gdy mu oddawał grosz hańby!..... Wtedy nie przedstawił mu się tak wstrętnie ten człowiek. A teraz.... teraz!.... Ile bólu sprawiły mu odwidziny dzisiejsze..... ile smutnych, okropnych wywołały wspomnień... Przypadek to, czy przeznaczenie, że właśnie do niego przychodził prosić o ratunek ten, który go niegdyś rzucił na pastwę losu, a imię matki na hańbę?... Czy przypadek to, że ten najbliższy krwią oddawał mu w ręce losy swego przyjaciela... podawał mu w ręce sposób dojścia do celu?... Bo dla Bodmera nie ulegało wątpliwości, że Bożycki przegra na giełdzie ostatki, że nie będzie mógł wykupić skryptów, a wtedy..... biada Bzowskiemu!..... Dumny szlachcic zależyć będzie od łaski dorobkiewicza, wtedy parwenjusz Bodmer podyktuje warunki jaśnie panu!...

Oczy Bodmera dziką zaświeciły radością. Leżała w nich taka nienawiść do wszystkiego co mu stało na zawadzie, tyle w nich było demonicznej siły zniszczenia, że pod jego wzrokiem byłby zadrżał najodważniejszy.

A jednak?... Jednak musiał mieć pewne skrupuły moralne; musiał wątpić w prawość swego postępowania, skoro wychodząc z pracowni, utwierdzał się w zamiarach swoich głośno wymówionem zdaniem:

— Tu nie ma wyboru! Miłość własna nad wszystko!...

Wychodził z pracowni, aby zwidzieć swoje zakłady.

VIII.

Pewnego dnia wrześniowego, około godziny 4ej po południu, niezwykły ruch panował we dworze bzowskim.

Przed wozowniami okurzano ekwipaże, czyszczono galową uprząż; w stajniach powtórnie czesano konie. W komórkach swoich myła się i odświętnie ubierała służba w wielką galową liberję. Z kuchni przez otwarte okna zalatywały zapachy wytwornych potraw i świeżego pieczywa. Rządził tam absolutnie kucharz, dowodząc całą armją dziewek folwarcznych i kuchcików. W jadalni uwijała się wśród lokai Brygida, kierując zastawą stołu. W pokoju przylegającym do buduaru Marji, siedziały trzy panienki zatrudnione wykończeniem wspaniałej sukni atłasowej; w pokoju Bzowskiego rejent przybyły z miasta, razem z panem domu i Bożyckim układał akt intercyzy ślubnej, a w salonie profesor przyjmował senatorowę Molskę, która w tej chwili przyjechała. Profesor ubrany w czarny frak, poprawiał od czasu do czasu to okulary, to krawatę, co było oznaką wewnętrznego wzburzenia, podczas gdy Molska zdejmowała rękawiczki i zarzutkę wierzchnią z sukni bogatej, powłóczystej.

Profesor stanął przed nią z rękami w tył założonemi, patrzył chwilę milcząco a potem rzekł:

— Ślub więc za kilka godzin..

— Tak... o ósmej — westchnęła Molska.

— Cóż pani na to wszystko?

— Zdaje mi się, że mnie zły sen trapi — odpowiedziała. — Nie mogę dotąd pojąć, jak się to stało? Gdyby mi kto przed pięciu tygodniami był powiedział, że Maryjka będzie kiedy żoną Bożyckiego, byłabym go o brak piątej klepki posądziła. A przecież to staje się faktem....

— Pamiętasz pani, jak w imieniny Maryjki mówiłem, że mi się krzątanie Bożyckiego koło niej nie podoba?...

— Ależ wówczas ona z oburzeniem odepchnęła samą myśl, żeby Bożycki mógł o nią konkurować. Nazywała to śmiesznością....

— A jednak dziś idzie za niego z uśmiechem, zadowoleniem. W pięć tygodni po oburzaniu się. Ha! ma słuszność przysłowie, które mówi, że gust kobiet, łaska pańska, pogody jesienne, ze wszystkich zmiennych rzeczy są najbardziej zmienne...

Profesor machnął ręką i przeszedł się po salonie. Molska ze smutnym uśmiechem patrzyła a nim.

— Wierz mi pani — zaczął znów profesor — że od czasu jak się dowiedziałem o zamążpójściu Maryjki, chodzę jak tuman, a ten dwór wydaje mi się domem warjatów. Ślub tej dziewczyny pachnie mi tragedją, a tymczasem ona uśmiechnięta, Bożycki uśmiechnięty i Onufry po tej swojej chorobie także uśmiechnięty. Za temi uśmiechami czuję coś złowrogiego, zwłaszcza ten Bożycki jest mi bardzo podejrzany. Wygląda jak złodziej obawiający się, aby go na uczynku kradzieży nie złapano.

— Dla mnie zachowanie się pana Onufrego jest bardzo zagadkowe. Marzył zawsze Bóg wie jak świetne partje dla córki, a tymczasem daje ją starcowi nad grobem... Jak można tak gubić własne dziecko!...

— Czy ja mu tego nie mówiłem? I wiele razy! A on na to: Maryjka go lubi, ona go przyjęła; ja się dziecku sprzeciwiać nie mogę... Czy pani słyszała kiedy coś podobnego? Taki satrapa jak Onufry, nie śmie się dziecku sprzeciwiać, gdy ono głupstwo spełnia... Świat się kończy!...

— Ta nagła choroba pana Onufrego daje mi także do myślenia. Powstał z niej innym człowiekiem. Dawniej wesoły, rzeźki, absoluta, uparty, dziś potulny jak baranek, a gdy się śmieje, ciarki mnie przechodzą, bo śmiech to dziwnie gorzki i nieszczery...

— Słowem, moje serce, zagadki i zagadki..... A spieszą się, jakby ich kto gonił. Ledwie się oświadczył, ledwie został przyjęty, już ci zapowiedzi, już ślub... A i ten ślub jakiś dziwaczny...

— Uprzedziłeś profesorze moje słowa. Oprócz mnie i ciebie innych świadków nie chciała Marja. To bardzo dziwne. Ona tak przywiązana do zwyczajów narodowych i religijnych, zdecydowała się iść zamąż bez drużek i drużbów, bez tego całego orszaku weselnego, jakiby powinien towarzyszyć zaślubinom. Wyemancypowała się tak nagle, że mnie lęk bierze...

— Jako sąsiadka i przyjaciółka, powinnabyś pani choć domyślać się, co może powodować Onufrego, że daje Maryjkę Bożyckiemu.

— Nie mam pojęcia o tem, powiadam profesorowi. Przecież nie chciwość powoduje panem Onufrym, bo jakkolwiek Bożycki ma grube kapitały, jednak czysty Bzów jest także ładnym posagiem. Maryjka mogłaby znaleźć tysiąc razy korzystniejszą partję.

— Czy uważałaś pani, jak ona się zmieniła w ostatnim czasie?

— Coś zauważyłam....

— Patrząc na nią codziennie, najlepiej widzę zmianę. Z wesołej panienki, żyjącej z dnia na dzień, bez myśli o jutrze, stała się majestatyczną narzeczoną, skończoną kobietą. Gdy ojciec zasłabł, wzięła w swe ręce zarząd majątku i kieruje nim z taką powagą, oględnością, znajomością rzeczy; tyle powprowadzała oszczędności, tak w karby ujęła służbę, że wyjść z podziwienia nie mogę. I dziś ona, niby żywa, a jednak inna, z gruntu inna. Dawniej uwielbiałem tylko to dziecko, teraz napełnia mnie szacunkiem dla siebie. Ale powód tej zmiany... powód znajdź mi pani, bo zwarjuję na starość....

— Powaga chwili, oczekiwania nieznanej przyszłości, stworzyły powagę duszy.

— Nie, pani, to za błahy powód; powód, że tak powiem formalny, podczas gdy mnie trzeba zasadniczego, bo tylko ten potrafiłby wywołać donioślejsze następstwa. Panny w rodzaju Maryjki nabierają takiej powagi duszy tylko z dwóch przyczyn, albo pod wpływem miłości, albo nieszczęścia.... Że zaś ani na chwilę nie można przypuścić miłości, przeto pozostaje tylko... nieszczęście, i dałbym szyję, że ta dziewczyna jest bardzo nieszczęśliwą, że dzisiaj spełnia się tu... zbrodnia...

Ostatnie słowa wymówił profesor z niezwykłą u niego energją i powagą...

— Na Boga, profesorze, co ty mówisz?

— Tak jest, pani, tutaj spełnia się zbrodnia, a my obydwoje będziemy świadkami tej zbrodni, nie mając sił i środków odwrócenia jej...

— Muszę koniecznie pomówić jeszcze raz z Maryjką.... Może mi się uda dotrzeć do dna tej duszy, która się przedemną od jakiegoś czasu tajemniczo zamknęła... Gdzie ona jest?

— Zapewne w swoim pokoju, ale tam nie pomówisz pani z nią, bo tam warstat ślubnej sukni i trzy panienki są obecne. Przyprowadzę ją tutaj, a sam się ulotnię. Pójdę zobaczyć, czy w kościele wszystko urządzili jak należy...

Wycałował ręce Molskiej i oddalił się.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

MARZNĄCE FALE

POWIEŚĆ

przez Walerego Przyborowskiego.

XXIV.

(C. d.) Mina, co prawda, nie bardzo temu wierzyła, żeby Miller był zrujnowany. Miała wogóle bardzo wysokie pojęcie o jego majątku, pojęcie zresztą ugruntowane na pewnych podstawach. Wychodząc za Millera zapytała się Lapego o stan majątkowy swego przyszłego męża. Lape powiedział jej, obliczając po szczególe sumy mieszczące się w różnych miejscach, że majątek ten wynosi około dwóch milionów złotych polskich. Opierając się na tem, mówiła sobie, że niepodobna ażeby mąż jej w ciągu pół roku niespełna stracił te dwa miliony. Przypuszczała, że wydał około miliona, toć zawsze pozostaje jeszcze jeden, stanowiący poważną cyfrę. Nie bardzo więc przerażała się słowami Millera. Kładła je na karb skąpstwa, na karb oszczędności, do której stary kupiec przywykł, na karb nakoniec tego przyzwyczajenia, które dotąd miał,

że rok rocznie majątek zwiększa, a nie zmniejsza. Wydanie miliona musiało go przerazić, ale jej wcale nie przerażało. Zapewne, straty są duże, bardzo nawet duże, ale nie jest to jeszcze ruina, zwłaszcza, że w najgorszym razie Zalesie będzie można sprzedać i część tych strat wynagrodzić sobie. Nie martwiła się więc wcale, śmiała się nawet z przerażonej, zgryzionej postawy męża. Zresztą jej myśl zajęta była czem innem, swą miłością zdrożną, a nie jakiemiś tam stratami pieniężnemi swego męża. Nie na to poszła za starca, żeby się miała martwić i zajmować jego sprawami majątkowemi. On powinien jej dać wszystko, zbytek, wygody, powozy, koronki, klejnoty, reszta nic ją nie obchodziła.

Inaczej sądził Miller. Uspokoiwszy się trochę, uporządkowawszy po strasznym zamęcie pożaru, siadł do obliczenia swych strat. Nie było rady. Trzeba było znowu pisać do Lapego, żeby pościągał wszystkie, jakie jeszcze pozostały kapitały, sprzedał wszystkie listy zastawne, jakie Miller posiada, i żeby przysłał jak najwięcej i jak najprędzej. Stary kupiec obliczył się, że bez jakichś trzydziestu tysięcy rubli nie da sobie rady, zwłaszcza, że trzeba było płacić podatki. raty towarzystwa, kupić zboża na zasiewy, odbudować stodoły, obory, owczarnie, kupić nowy inwentarz, owce, statki i narzędzia gospodarcze. Spaliła mu się żniwiarka, pogorzały prawie wszystkie kosztowne amerykańskie pługi, brony. Spaliła się młocarnia, sieczkarnia, mnóstwo zresztą sprzętów najrozmaitszych. Trzebaż to wszystko było kupić i rozpocząć na nowo wiejską kampanią. Postanowił nie wyjeżdżać z Zalesia, aż chyba przed samą zimą i zostawić wszystko uporządkowane, uregulowane, zaopatrzone jak należy. Miał nadzieję, że się odreperuje, jak mówił. Nie zawsze przecież są takie klęski, jak te, których doznał. Bóg chciał doświadczyć jego stałości i doświadczył go ciężko. Ale on sobie da radę. Nie rzuci za nic wsi, i do ostatka będzie się przy niej trzymał.

Oczekując na przysłanie przez Lapego pieniędzy, zajmował się uporządkowaniem swego obejścia gospodarskiego. Był mocno zajęty, smutny, zgryziony. To oddziaływało na wszystkich. Schodzono się ale mało mówiono, nie bawiono się wesoło. Między panią Łucją i jej mężem trwał ciągle naprężony stosunek pełen pozornych grzeczności, ale w gruncie rzeczy kryjący w sobie zarzewie nieprzejednanej nieprzyjaźni.

W ogóle pędzono teraz smutne życie w tym domu, w tym dużym, wykwintnym pałacu. Zarembowie zresztą wybierali się już do Warszawy. Miller wstrzymywał ich, bał się zostać tak sam, zwłaszcza, że Zygmunt dopomagał mu w wielu razach, zajmował się z nim gorliwie wszystkiem.

Tak upłynęło parę tygodni od pożaru. Listu od Lapego nie było i Miller poczynał się niecierpliwić i niepokoić, gdy nakoniec jednego dnia zjawił się w Zalesiu sam Lape.

Miller przyjął go niezmiernie zdziwiony.

— Co się stało?—zawołał do wchodzącego swego plenipotenta, który w skromnej postawie, z wiecznie nieposłuszną kamizelką na sobie, z tobołkiem pod pachą, stanął we drzwiach kłaniając się nizko.

— Dlaczego pan przyjechałeś?— powtarzał pytanie Miller — mówże pan, co się stało?

— Nic się nie stało nadzwyczajnego panie pryncypale. Wszystko to, co przewidywałem, co się stać musiało, to się też stało.

— Więc cóż? Donnerwetter, gadaj pan! Pieniądze, o które pisałem, masz pan?

— Mam trzydzieści pięć tysięcy rubli.

— No, to dobrze. Ale można je było przesłać, niepotrzebnie sam pan przyjeżdżałeś, zostawiając sklep na opatrzności bożej i subjektów.

— Sądziłem panie pryncypale, że dobrze robię; są ważne, bardzo ważne powody, dla których tu przyjechałem. Nie mogłem ich powierzać listowi.

— Więc cóż? powiedz pan.

— Kranich i Grüdiger zbankrutowali.

Miller na te słowa pobladł i cofnął się o parę kroków wstecz.

— Co pan mówisz?—bełkotał.

— Prawdę mówię panie pryncypale. Oto depesza.

Wyjął z bocznej kieszeni swego dostatniego, granatowego surduta ogromny pugilares skórzany, obejrzał się dokoła, położył go wolno na stole i począł starannie odwijać różne sznurki, jakimi był owiązany. Skończywszy tę mozolną pracę, dobył kluczyka zawieszonego na tasiemce na szyi i roztworzył pugilares. Najprzód wyjął kilka paczek banknotów, policzył je i oddychając ciężko, rzekł:

— Oto trzydzieści pięć tysięcy rubli w siedmiu paczkach po pięć tysięcy. Niech pan pryncypał obliczy.

— Dobrze! później policzę. Proszę o depeszę.

Lape znów poszukał w masie najrozmaitszych papierów i wyjął długi, żółty kawałek, który podał Millerowi.

Ten przeczytał, potarł czoło i kładąc depeszę na biurku rzekł:

— Prawda. Wieleśmy stracili u Kranicha i Grüdigera?

— Czterdzieści osiem tysięcy rubli, nie licząc procentów niezapłaconych od przeszłego roku. Pan pryncypał się nie upominał, oni też nie płacili.

— Któżby przypuszczał, że tak poważna firma może zbankrutować!....— mruknął Miller, odwracając się tyłem do siedzącego na brzeżku krzesła Lapego i opierając głowę na obu rękach.

— Ogółem straciliśmy około pięćdziesięciu tysięcy rubli — mówił Lape. — Wprawdzie odzyskamy coś; mówią, że mają płacić po trzydzieści za sto.

— Niech ich piorun trzaśnie!—wrzasnął Miller i zerwawszy się z krzesła, począł chodzić wielkimi krokami po pokoju.

Lape siedział nieruchomy, blady, z kroplistym potem na czole, wpatrzony w swego pryncypała, pociągając gwałtownie podnoszącą się ciągle do góry kamizelkę.

— W Warszawie jest ogromny popłoch wskutek tego bankructwa — mówił — nie ma firmy, któraby nie była zaangażowana. Przyczyniło się trochę do tego także gwałtowne podnoszenie przez nas kapitałów.

Miller stanął i spojrzał bystro swemi maleńkiemi oczkami na Lapego.

— Co mi pan tam znów mówisz? Któż to mógł wiedzieć o mych kapitałach lub o tem, że je podnosimy. Bajki wierutne panie Lape.

— Nie panie pryncypale. Popodnosiliśmy znaczne sumy z banków, a dobrze o tem wiedziano, że je tam mieliśmy. A przytem takie nagłe, w ciągu paru miesięcy zrealizowanie znacznych kapitałów, spowodowało liczne o nas pogłoski.

— No, cóż mówiono?

— Mówiono i mówią, że bardzo źle stoimy.

— Donnerwetter! — mruknął Miller.

— I oto teraz, kiedy Kranich i Grüdiger zbankrutowali, odmówiono nam kredytu i zapowiedziano żebyśmy wszystkie należności na terminy popłacili.

— Tak! — zaczerwienił się Miller cały — to tak! Zapłacić co do grosza, a potem zerwać wszelkie stosunki z tymi, którzy ośmielili się staremu Millerowi coś podobnego zapowiadać. Zapłacić co do grosza panie Lape i to natychmiast, przed terminem jeszcze!

Był rozgniewany. Jego duma kupiecka była dotkliwie zadraśnięta. Ośmielono się wątpić w wypłacalności jego zobowiązań, jego, starego Millera, za którego podpis przed pół rokiem danoby dwa co najmniej miliony. O! on jeszcze nie zbankrutował, on pokaże tym handlarzom nie kupcom, co to jest stara, poważna, szanująca się firma kupiecka.

— Zapłacisz mi pan co do grosza panie Lape przed terminem jeszcze, natychmiast nawet!

Biegał po pokoju z widocznem, głębokiem oburzeniem. Lape patrzał na niego przerażonym wzrokiem, co chwila ocierał czerwoną, kraciastą chustką pot z czoła, podnosił się i znów przysiadał na krzesełku, otwierał usta i zamykał je, jakby się bał wypowiedzieć to, co ma na myśli. Nakoniec z wyrazem rozpaczliwej determinacji na twarzy podniósł się, wyprostował jak struna i zawołał głosem zmięszanym na pół z płaczem:

— Panie pryncypale nie mam pieniędzy!

Wyrzekłszy to, jak gdyby wykonał ostatnie wysilenie, jak gdyby spełnił coś nadzwyczajnego, przeraził się własnego heroizmu, gdyż z wyrazem przestrachu padł znowu na krzesło.

Miller, który był zwrócony doń tyłem wtedy, nagle skręcił gwałtownie i zawołał:

— Jak to? pan nie masz pieniędzy?

Lape znów się zerwał na równe nogi, sięgnął do swego wielkiego pugilaresu i wyjął zeń pęk papierów, które rozłożył na stole, mówiąc:

— Tak, panie pryncypale, prócz tych trzydziestu pięciu tysięcy nie mamy już ani grosza gotówki, chyba jeżeli weźmiemy w rachubę jakie parę tysięcy w kasie sklepu. Oto są rachunki moje, pokwitowania, wszystko jest, panie pryncypale, proszę przejrzeć.

Drżącą ręką, tak, iż mu papiery te szeleściały, podawał je Millerowi. Ten schwycił je gorączkowo w gniewie i począł przeglądać. Odwracał kartę za kartą i odkładał je na bok, mrucząc coś pod nosem. Nagle zatrzymał się i zawołał:

— Sześć tysięcy rubli! co to za sześć tysięcy rubli? Ja nic o nich nie wiem....

— To jest rachunek modystki, panie pryncypale. Przecież pisałem panu o nim, pytając, czy mam płacić i otrzymałem rozkaz zapłacenia. To jest rachunek za suknie, kapelusze itp. pani pryncypałowej.

Mówiąc to, począł znów szukać w swym niewyczerpanym pugilaresie.

— A! oto jest rozkaz pana pryncypała — zawołał w końcu.

— Sześć tysięcy rubli! Nie przypuszczałem, że to tak dużo. Donnerwetter! trochę za dużo! — mruczał Miller. — Sześć tysięcy rubli wydać na gałganki, fatałaszki, to djablo dużo!

Tajemny gniew podnosił w nim głowę przeciw tej młodej żonie, która ostatecznie była przyczyną wszystkich tych klęsk, jakie go spotkały. Ona to kazała mu kupować wieś, sprowadzać konie, powozy, budować, przerabiać, żyć na magnacką prawie stopę. Ona to nakoniec bez jego wiedzy prawie zakupuje kapeluszy, sukien, koronek za czterdzieści tysięcy złotych polskich. Oburzał się do głębi duszy. Usiadł teraz i drżącemi od gniewu rękami przeglądał dalej rachunki Lapego, prowadzone i usprawiedliwiane ze skrupulatnością nie pozostawiającą nic do życzenia. Cyfry w nich rosły, rosły ogromnie. Teraz i Miller się spocił, gdy skończył ten przegląd. Westchnął ciężko, otarł czoło i zdumiewał się nad swoją lekkomyślnością, że mógł tyle wydać pieniędzy dla fantazji prawie, dla tego żeby się przypodobać młodej kobiecie. O! dość tego. On to musi zmienić; trzeba teraz inaczej wziąć się do rzeczy.

— Dobrze, panie Lape — rzekł w końcu — więc jesteśmy zrujnowani?

— No, tak źle nie jest, panie pryncypale. Mamy sklep, który w tej chwili wprawdzie dobrze nie idzie, ale pójdzie lepiej, mamy dom z czystą hipoteką, mamy nakoniec tę wieś...

— Ale gotówki już nie mamy.

— No, mamy te trzydzieści pięć tysięcy...

— Kiedy są płatne nasze weksle?

— Za dwa tygodnie.

— Ile one wynoszą?

— Sześć tysięcy rubli.

— Tyle, ile moja żona wyrzuciła na fatałaszki — pomyślał Miller z goryczą.

— Dobrze, panie Lape. Odpoczniesz pan sobie tutaj na wsi przez parę dni, zabawisz się trochę, rozerwiesz, a potem pojedziesz do Warszawy. Dam ci te sześć tysięcy na zapłacenie weksli.... a potem zobaczymy.

— Dobrze, panie pryncypale.

— A teraz może pan co zjesz. Idź pan przywitaj się z moją siostrą i żoną, z Zarembami... śniadanie będzie zapewne niedługo.

Lape ukłonił się nisko i wyszedł. Miller zagłębił się w fotel i wpatrując się w sufit, pogrążył się w głębokie, bolesne myśli. (C. d. n.)

OSTATNI PODAREK.

OBRAZEK Z ŻYCIA BIEDNYCH LUDZI

PRZEZ

L. STROUPEŻNICKIEGO.

Do bramy jednego z domów świętopietrskiej dzielnicy Pragi wszedł posługacz karawaniarzy, niosąc małą dziecięcą trumienkę. Zwrócił w drzwi na lewo i wstępował po schodach ze spokojem człowieka załatwiającego zwykłe, codzienne interesa. Posługacz taki jest przeciwieństwem hieny. Hiena utrzymuje się przy życiu z wygrzebywania trupów, człowiek ów z ich grzebania. Głosy dzwonów kościelnych zwiastujące, że na padole tej ziemi znów zgasło jedno światełko, błędny ognik żywota, głosy te rozdzierające serca wielu nieraz ludzi, jego przepełniają radością: zwiastuny śmierci, przynoszą jemu i jego rodzinie zarobek, życie.

Tajnymi wspólnikami tego człowieka są zakrystjanie. Jak tylko zjawi się kto do kościoła i dzwonić każe po umarłym, wnet oni znać mu dają, gdzie i kto umarł, a on wtedy pospiesza uprzedzić współzawodników, zalecić trumny swego pana. Ma też obok stałego wynagrodzenia jeszcze inne ze „swoich pogrzebów“ dochody i dzieli się niemi z zakrystjanem, który umie na pamięć długą nieraz listę wszystkich chorych w parafji. Zakrystjan ma także swoją agenturę, swe ajentki.

Baby co bądź z pobożności, bądź dla podzielelenia się najświeższemi plotkami, codziennie kościół nawiedzają, donoszą niechybnie zakrystjanowi, w którym domu kto zaniemógł i kiedy gdzie śmierci się spodziewać. Baby te jak kruki wietrzą trupa.

Różańce przesuwając, krakały pewnego ranka te kruki ochrypłym głosem zakrystjanowi do ucha, że dziecko konwisarza Pawliczka na tej a tej ulicy niebezpiecznie zachorowało. Po kilku dniach krakały już tej dziecinie pieśń pogrzebową.

Zakrystjan dał wnet znać o śmierci dziecka swemu przyjacielowi pogrzebowemu, posługaczowi karawaniarzy. Posługacz się pospieszył, zaprowadził płaczącą matkę do składu trumien swego pana, gdzie wybrała i stargowała trumienkę za pięć złotych, płatnych przy odbiorze. Teraz niesie trumienkę do mieszkania Pawliczków na trzecie piętro. Idzie po schodach i rozlicza półgłosem:

— Od każdego złotego da mi pan dziesięć centów, razem pięćdziesiąt, piętnaście dam zakrystjanowi za fatygę, zostanie trzydzieści pięć. Kupię za nie kawy, to nam na cały dzień wystarczy.

Mówiąc „nam“, myślał o żonie i dwojgu dzieciach.

Na trzeciem piętrze w drugie drzwi zadzwonił.

Otworzyła mu kobieta niewielkiego wzrostu, zaledwie dwudziestokilkoletnia, mizerna, blondynka. Twarz jej przyjemna, chociaż w tej chwili ma wyraz boleści i smutku. Oczy jej bez blasku, łzami zalane, jak szkło oddechem zaćmione, powieki ma zaczerwienione i sine pod oczami kręgi. Suknia na niej błękitna perkalowa, fartuch na prawą stronę ściągnięty, włosy niedbale zaczesane spadają rozplecionemi warkoczami wokoło jej szyi.

Na ukłon wchodzącego posługacza odpowiedziała zaledwie skinieniem głowy, wzrok jej wnet zatrzymał się na trumience, usta drgnęły i zacisnęły się boleśnie, a z oczu trysnęły łzy.

Posługacz przeszedł przez kuchnię i zaniósł trumienkę do pięknego, schludnie przybranego pokoiku, gdzie na pościółce, przykrytej białem prześcieradłem, leżały zwłoki dziecięcia zaledwie może półtorarocznego, u główki po obu stronach paliły się dwie świece woskowe w staroświeckich cynowych lichtarzach.

Twarz dziecka okolona jasnymi włoskami, ładna, chociaż bez życia; z rysów widać, że dziecko za życia było śliczne. Wokoło jego posiniałych usteczek igra dotąd uśmiech lekki, ale uśmiech przyćmiony nieznacznym odcieniem goryczy, charakterystyczny uśmiech trupa. Małe, delikatne rączki ubranego w białą koszulkę dziecięcia, na krzyż złożone, spoczywały na piersiach, a u dołu wyglądają z pod koszulki blade paluszki bosych nóżek.

U pościółki dziecka stoi mężczyzna może sześćdziesięcioletni, wysoki, chudy, przygarbiony. Na głowie ma ciemne włosy, twarz jego pożółkła nieco, poorana zmarszczkami, oczy głęboko zapadłe, nos ostry, wystający, pod nim długie i gęste wąsy, jakie zazwyczaj noszą starzy wojskowi lub pensjonowani urzędnicy. Ubrany jest w długi wytarty surdut, poplamioną zieloną kamizelkę, na której zwiesza się wielce misternie nowomodnie wyrabiany złoty łańcuszek od zegarka, ma wąskie brunatne spodnie, a na nogach trzewiki plecione z łyka. Po twarzy mężczyzny spływają zmarszczkami łzy, wzrok jego nieruchomie w twarz dziecka utkwiony.

Posługacz pozdrowił go, położył trumienkę na stole i spytał cicho:

— Mam dziecię włożyć do trumienki?

— Nie! — odburknął mężczyzna w peruce szorstko i nieprzyjemnie.

Posługacz zmięszany cofnął się nazad do kuchni, gdzie na stoliku leżało pięć srebrnych monet.

Skinieniem ręki i wejrzeniem łzami przyćmionych oczu wskazała na nie pani.

Posługacz milcząc wziął pieniądze, podziękował, skłonił się i wyszedł.

Pani upadła na krzesło, zakryła twarz rękami i płakała gorzko, szlochając boleśnie.

A w przyległym pokoju mężczyzna w peruce schylił się nad martwą dzieciną, pocałował jego białe, chłodne czoło, ostrożnie podniósł maleństwo i złożył do trumienki. Potem jakby ta praca wszystkie jego siły wyczerpała, osunął się na krzesło, głowę wsparł na rękach i pogrążył się w myślach.

Przed wzrokiem jego duszy przesunął się cały szereg obrazów z przeszłości, przypominał sobie chwile, kiedy małe jeszcze chłopię po raz pierwszy kraj rodzinny opuszczał i wzrokiem łzą zroszonym spoglądał na młyn, stojący tam w biednym górskim zakątku.

Szereg lat nędznego życia ubogiego studenta w Pradze, walki ciała strudzonego pracą z miłym przyjacielem człowieka a wrogiem pracy, snem. Potem dni burzliwe rewolucji..... ogniste mowy, głos serca wezbranego tęsknotą za swobodą ludzkości całej... dnie, noce na barykadach... wystrzały... armat grzmienie... i... cicho... samotne, ciężkie chwile w zimnem, wilgotnem więzieniu...

Pasmo lat zwolna chylących człowieka do grobu, a jednak nie przynoszących śmierci, swem brzemieniem przygniatających wszystko, co tylko do czynu pobudza... smutny żywot bez zmian... lato od zimy różniące się tylko skwarem rozpalającym kamienie!...

Nareszcie zwrócono złamanemu ciału i upadłemu duchowi swobodę. I znów ujrzał młyn bielejący tam wśród gór, w cichym biednym zakątku jego stron rodzinnych, ale ciężką dolą zmienionej twarzy już tam nikt nie poznał, nikt nie powitał zapóźnionego przybysza... Na cmentarzu w cieniu bzu dzikiego dwa krzyże... ojciec... matka... opodal trzeci, młodszy brat.... a jego żona, zamężna powtórnie, panią w młynie, którego szum wesoły rozlega się po dolinach....

Nastały znowu lata smutne i utrapień pełne, od których głowa szronem srebrnym się okrywa..... nowe cierpienia rychło i te białe włosy wyrwały z nad czoła.

Lecz oto przyszła ulga wśród burz i przeciwności żywota: mały zakątek w obszernej, sklepionej komnacie, zarzuconej stosami papierów.... miejsce maluchne.... posada w jednym z tych publicznych urzędów, które w naszem pełnem ludzkości stuleciu, pomału wydzierają z ciała biedą wycieńczonego sił ostatki i blask ostatni z przygasającego oka — za tak liche wynagrodzenie, że można je porównać do udzielanego peryodycznie jadu, trującego powoli.

. . . .

Mężczyzna w peruce zbudził się ze swych marzeń, wzrok jego zwrócił się znowu na twarz dziecka, z wyrazem bezgranicznej miłości i skrytego bolu.

Pani w kuchni, ukrywszy twarz w poduszki spazmatycznie szlochała.

Ociężałą ręką pociągnął stary za złoty, misternie wyrobiony łańcuszek i bezmyślnie wyjął z kieszonki drogocenny złoty zegarek, tak dziwnie odbijający od nędznej powierzchowności biednego pisarza. I nowe wspomnienie zbudziło się w jego duszy.

Szedł pewnego dnia przez stary, kamienny most prazki i przed oryginalną ową rzeźbą, przedstawiającą zdjęcie Chrystusa z krzyża, ujrzał stojącego cudzoziemca.... dziwna twarz.... zdawało się staremu pisarzowi, że już ją zna oddawna.... Cudzoziemiec zwrócił się ku niemu, popatrzył i w jednej chwili już był w objęciach pisarza.

Węgierski był to szlachcic — długie miesiące, długie lata spędził z nim stary pisarz w ciemnej celce więziennej. Bogaty magnat serdecznie uścisnął ubogiego pisarza. Podróżując na północ, zatrzymał się na kilka dni w Pradze.... na odjezdnem zmusił swego współtowarzysza niedoli do przyjęcia drogocennego daru, złotego zegarka ze złotym łańcuszkiem.

Mężczyzna w peruce zapatrzył się na wskazówki zegarka i ledwie po dobrej chwili spostrzegł, że jest nienakręcony.... Zapomniał przedewszystkiem że go posiada.

Na wieży św. Piotra wybiła dwunasta.

Do kuchni wszedł mężczyzna może trzydziestopięcioletni, wysoki, silny, muskularny, z twarzą dymem i sadzą zaczernioną: tem widoczniejszą była czerwoność jego grubych warg i zaognionych, widocznie od łez oczu.

Jest to konwisarz Pawliczek, ojciec zmarłego dziecka. Zbliżył się do płaczącej żony, przytulił do piersi, podniósł z siedzenia i rzekł:

— Ucisz się Basiu, nie płacz.... — Ale przy ostatniem słowie głos go zawiódł, załkał i po twarzy okopconej, łzy się potoczyły.

Drżącem ramieniem podtrzymując żonę wszedł z nią do pokoju. Drgnął cały ujrzawszy dziecko swoje w trumience, szeroka jego pierś podniosła się jakby z bolu pęknąć miała, otarł dłonią spracowaną spocone czoło, schylił się nad dzieckiem, zimne czoło dotykając ustami, potem milcząc podał rękę staremu w peruce.

Wszyscy troje zapatrzyli się w twarz dziecka...

Przed piętnastu laty zapoznał się pisarz z Pawliczkiem, ten ostatni był podówczas prostym robotnikiem w wielkiej fabryce maszyn. Mieszkali razem w małej izdebce na poddaszu, z której widać było mnóstwo dachów i kominów, piękny, szeroki pas nieba. Wykształcony, z wyrobionym charakterem i znajomością życia towarzysz wpływał dodatnio na umysł i charakter młodego chłopaka wyszłego z klasy tych dzieci, którym wraz z chrzestnem imieniem daje się też nazwisko.

Pawliczek wyszedł na dzielnego robotnika i gdy po latach ożenił się z dobrą chociaż jak on sam ubogą dziewczyną, najęli mieszkanko o dwóch pokoikach, z których jeden zajął stary pisarz, dziwak. Tak bowiem wszyscy go w domu nazywali, ponieważ zawsze opryskliwy był i ponury, a z ludźmi wszelkiej styczności unikał. Pawliczkom urodziło się dziecię, chłopczyna; matka i ojciec uścisnęli czule dziecinę a stary dziwak każdy swój pocałunek, a tych było wiele, oblał łzami. Radował się a witał dziecię słowami tak tkliwemi, jakich nikt dotąd z ust jego nie słyszał.

Ciężka niemoc powaliła matkę na łoże boleści; długo zostawała między życiem a śmiercią... gotówka w domu się wyczerpała. A zdrowie matki się nie polepszało.

Pewnego poranku, otworzył stary pisarz swą komódkę, wyjął z szuflady okrągłe pudełko, a z niego staroświecki tombakowy zegarek na prostym zwieszony sznurku, nakręcił i włożył do kieszonki zielonej swej kamizelki, do pudełka zaś na wacie pożółkłej położył swój złoty zegarek ze złotym łańcuszkiem i poszedł do kancelarji.

W południe, gdy Pawliczek, już teraz dozorca nad odlewami, powrócił z fabryki na obiad do domu, podał mu stary pisarz pięćdziesięcioguldenowy banknot, „żeby miał na wszystko, czego tylko dla ulgi i uzdrowienia chorej potrzeba".

Wzrok robotnika jakby przeczuciem wiedziony przebiegł z banknota na kamizelkę pisarza, gdzie na miejscu złotego łańcuszka kołysał się stary, wytarty bawełniany sznurek.

Odgadł jaką drogą dostały się pieniądze w przyjaciela ręce, przyjął je silnie uścisnąwszy kościstą dłoń człowieka w peruce.

Żona konwisarza wróciła do zdrowia, dziecię rosło jak na drożdżach i było wesołe, modre jego oczęta raźnie rozglądały się po izdebce, znikły troski z mieszkania biednych ludzi, twarze się rozjaśniły, ba i pieśń zawdzięczała... matka śpiewała swej dziecinie.

Sadzą i dymem oczerniona twarz konwisarza jaśniała chwilami niekłamanym blaskiem wewnętrznego spokoju i czasem tylko chmurzyła się nagle, gdy wzrok jego zabłądził przelotem na starą, wytartą kamizelkę przyjaciela, na której zwieszał się prosty, bawełniany sznurek.

Jednej niedzieli zapotrzebował Pawliczek od starego pisarza w krótkich, prostych słowach biletu zastawnego na jego złoty zegarek i nazajutrz, w poniedziałek kołysał się na zielonej kamizelce pisarza pyszny, aż zanadto piękny złoty łańcuch, a w kieszonce odzywał się wesoło złoty zegarek.

Czem jest dla ziemi skrzepłej wiosenny promień uśmiechającego się słońca, tem było dziecię konwisarza dla swego otoczenia: budziło nowe życie.

Inwalid z barykad, stary pisarz, ponury, burkliwy, zmienił się do niepoznania: stał się wesołym, rozmownym, ba gadatliwym. Wieczorem cały swój czas swobodny poświęcał dziecku, które przy chrzcie na jego ręku spoczywało i jego imię nosiło. Niańczył je, huśtał aż się pocił, usypiał, jeśli zapłakało. Całował jego jasne czoło, światłe, lniane włoski i długo, bywało, długo w błękitne jego oczki się wpatrywał.

— To dziecko — zwykł mawiać — pogodziło mnie z życiem i ze światem. Przeszłość moja jest pasmem trosk, od których serce mi zgorzkniało. Nie dowierzając ani jednostce, ani ogółowi, widziałem wszędzie jeno egoizm i osobisty interes... W skutek takiego patrzenia na świat i ludzi wyrobił się we mnie sąd zgryźliwy, słowa moje cierpkiemi, ostremi się stały. Serce moje pokryła warstwa lodu. A jednak są w głębi duszy uczucia i zmiany, które nie wiedzieć zkąd przychodzą. Gdy patrzę w uśmiechniętą twarzyczkę tego dziecka, nie mającego pojęcia o tych wszystkich światłach i cieniach, z których żywot ludzki się składa, w tę twarzyczkę, która jest źwierciadłem duszy, nieznającej różnicy między złemi a dobremi przymiotami natury człowieka, gdy patrzę w te uśmiechające się oczęta: wtedy cała gorycz, cała nienawiść dla ludzkości z serca mego spada, do duszy mej zalatuje jakby powiew spokoju i ciszy, zagładza w mej pamięci wspomnienia wszystkich krzywd, dni pochmurnych i nocy strasznych w więzieniu spędzonych, dni i nocy, kiedy głód wnętrzności me targał... spojrzenie tych modrych dziecięcych oczek stapia lód na sercu mojem i ja przebaczam z głębi duszy wszystko... wszystko i życie całe widzę w nowem świetle nieprzyćmionem żadnym cieniem.

Skrytość, ponurość pisarza znikły bez śladu.

Bawił się ciągle z dzieckiem; jeśli udało mu się rozśmieszyć je żartem jakim lub ruchem, to pomarszczona twarz jego jaśniała radością; nawet i to go cieszyło, gdy dzieciak rączką swą ściągał mu na ucho perukę.

Najmilszą jednak zabawką chłopięcia był pisarza złoty zegarek z łańcuszkiem. Połysk jego więził oczki dzieciaka tak, że każdą inną cackę odrzucało na stronę. Przykładało go do uszka przysłuchując się jego uderzeniom. Jeśli się rozpłakało—zegarek je uciszał; jeśli chore było, nie dotknęło żadnej zabawki, tylko w rączce trzymało zegarek...

Upłynął rok i połowa drugiego. Dziecko zaczęło mówić, widnokrąg jego myśli rozszerzał się coraz bardziej, z dnia na dzień zapamiętywało słówko po słówku, budzące w nim wyraźny obraz tej lub owej rzeczy. Nauczyło się naśladować chód zegarka, a ich właściciela nazywało „pan"...

Zasłabło nagle jednej nocy... przez trzy dni okropna niepewność rozdzierała serca trojga ludzi... Nareszcie niepewność minęła. Dziecko ucichło, błękitne jego oczki przygasły i zamknęły się na zawsze. Ostatnią cacką, którą się dziecko bawiło, był pisarza złoty zegarek.

W tej chwili stoją trzy osoby nad jego zwłokami. Długą chwilę nikt z nich nie przemówił słowa, wreszcie odezwał się konwisarz drżącym głosem:

— O której godzinie przyjedzie wóz pogrzebowy?

— O trzeciej — odrzekł pisarz.

Ojciec rozpaczliwie spojrzał na żonę i załamał ręce:

— A ja nawet nie mogę swemu dziecku ostatniej oddać posługi!

Bolesne zdziwienie odbiło się na twarzy żony i pisarza.

Konwisarz objaśniał:

— Już od kilku dni przygotowujemy się do największej, najcięższej pracy, jaka kiedy podjęta była w naszej fabryce; idzie o odlanie cylindra kilkaset centnarów ważącego. Metal już roztopiony, dziś po południu musi być w formę przelany. Czynność ta wymaga nadzoru człowieka z zimną krwią, przygotowanego na wszelki, najgorszy nawet wypadek, który się w ciągu tak uciążliwej pracy wydarzyć może... Prosiłem zarządzającego fabryką, aby mnie na dzisiejsze poobiedzie od wszelkich zajęć uwolnił. On uznał — cześć mu za to — ważność i słuszność mojej prośby, ale żądał, abym objął koniecznie nadzór nad robotą w stanowczej chwili, nikomu bowiem podobnego zlecenia dać nie może, chyba mnie tylko. Obawia się aby brak uwagi i ostrożności nie stał się przyczyną wypadku, któryby pozbawił życia niejednego z mych towarzyszy, robotników. W ich więc imieniu prosił mnie, abym objął kierownictwo nad odlewaniem cylindra... Stanęli mi w myśli towarzysze moi, stanęło mi w oczach niebezpieczeństwo grożące ich życiu i możliwość nieszczęścia... przystałem na wszystko.

Ostatnie słowa wymówił smutnie i głowę zwiesił na piersi.

— I dobrześ uczynił — rzekł z głębi duszy stary pisarz. Żona płakała.

Konwisarz spojrzał na zegarek i wyszeptał:

— Metal już musi być gotowy.

Pochylił się nad dzieckiem, chciał coś przemówić, ale boleść go dusiła... wyjęknął kilka niezrozumiałych słów, ucałował bladą, jak lód zimną twarzyczkę dzieciny, jej drobne rączęta i nóżki maleńkie, potem osunął się na kolana i modlił się. Zerwał się po chwili, przycisnął do piersi żonę, uścisnął starego przyjaciela, na czole dziecka złożył pocałunek i szedł zataczając się ku drzwiom... na progu się zatrzymał.. obrócił się... wbiegł napowrót do izby, raz jeszcze dziecko uscisnął, i szybkim krokiem nie oglądając się wyszedł, ocierając rękawem łzy z zadymionej twarzy.

Pisarz ujął w ręce wieko trumienki.

Biedna matka odgadła, że do ostatniej czynności się zabiera. Rzuciła się rozpaczliwie na trumienkę i wzywała Boga, aby Wszechmogący wrócił życie jej dziecku.

Pisarz pojął, że to co nastąpić miało, jeszcze nieszczęsnej matce boleści przysporzy — odstawił wieko na miejsce, i wyprowadził płaczącą kobietę z pokoju do kuchni, gdzie ona padłszy na kolana, łamała ręce i modliła się. Pisarz powrócił do dziecka. Znowu sięgnął po młotek i gwoździe leżące na krześle koło trumienki, ale do czynu sił mu zabrakło — ręce mu opadły.

Zapatrzył się na twarzyczkę dzieciaka, który przez tych kilka chwil swego życia, niewinnym swym uśmiechem, jakby dziwnym jakimś czarem, pogodził go z ciężką, smutną dolą... przypomniał sobie chwile, kiedy różowe paluszki dzieciny bawiły się jego złotym łańcuszkiem, jego zegarkiem...

Przy tem ostatniem wspomnieniu drgnął jakby nowa myśl jakaś przeszła mu przez głowę, odrzucił młotek i gwoździe, wyjął drżącemi rękami zegarek z kieszonki, odpiął łańcuszek, owinął nim lewą rączkę dziecka, w prawą dał mu zegarek i na czole jego zimnem złożył pocałunek... po tem naraz chwycił wieko, zakrył trumienkę i silnem uderzeniem młotka wbił pierwszy gwóźdź.

Przy pierwszym odgłosie młotka krzyknęła matka boleśnie.... chciała się zerwać na nogi, ale siły ją zawiodły.

Stary pisarz z gorączkowym dzikim pośpiechem wbijał gwóźdź po gwoździu.

Uderzenia młotka rozlegały się dziwnym, przenikającym łoskotem, to znowu głuchym chrzęstem i po chwili trumienka była już zamkniętą na zawsze.

Ukończywszy tę pracę, pośpieszył stary do matki i cieszył ją słowami płynącemi z najprzyjaźniejszego i najwierniejszego serca.

O trzeciej godzinie wóz zajechał.

Posługacz, który trumienkę przynosił, przyszedł by ją znieść na dół do wozu, ale pisarz, czarno ubrany, odtrącił go gniewnie. Zniósł ją sam, i na wóz postawił, potem wrócił wziąć matkę, pomógł jej zejść ze schodów i podtrzymywał idącą za konduktem. Zwolna potoczył się wóz pogrzebowy ku cmentarzowi.

Potężny płomień huty zalewał czerwoną łuną i duszącym dymem napełniał fabrykę w chwili, kiedy Pawliczek wrócił do roboty. Tłum półnagich robotników skupiał się w koło formy w ziemię wkopanej.

Szum i łoskot podobny do grzmienia burzy rozlegał się wkoło — pracowało w tej chwili w fabryce mnóstwo parowych maszyn i ciężkich młotów szeregi uderzały całą siłą w potężne kowadła. Chwilami wśród przenikliwego pisku buchała z maszyn kłębami sinawa para. W okół widać było błyskające płomienie ognia, topiącego żelazo, ognia przez człowieka ujarzmionego, posłusznego woli jego, jego zamiarom i celom

Pawliczek, rozglądnąwszy się wokoło, pozdrowił towarzyszy, zrzucił kaftan, kamizelkę i pilnie zaczął przyglądać się formie.

Potem wstąpił po schodach na górę, gdzie w kotłach czerwieniła się lawa roztopionych metalów, przechodząca powoli w białość zupełną. Zapatrzył się na ten potok ognisty. Gorący pot, zalewający mu twarz, zmieszał się ze łzami tryskającemi co chwila z jego oczu.

Rozpatrzywszy przyrządy, rozdzielił pracę i wyznaczył stanowiska. Jak lawa z wulkanu wywalił się roztopiony metal czerwono-białawym potokiem; z szumem i sykiem pędził granitowym żłobem na dno formy, zkąd buchnęły kłęby pary.

Łuna bijąca od rozpalonego metalu oświecała ciemno czerwone twarze robotników, pracujących w milczeniu.

Spokojnym i zimnym był, przynajmniej takim się być wydawał, Pawliczek, który to spoglądał na potok ognisty, to na obłoki pary unoszące się z głębi formy.

I często zdawało mu się, że ta para układa się w różne kształty i obrazy, zdawało mu się, że wśród białych jej kłębów widzi twarzyczkę swego syna raz wesołą, to znowu nieruchomą i martwą.

— Ciężko! — szeptali wciąż robotnicy.

— Bardzo ciężko — powtórzył za nimi Pawliczek, odwracając oczy od kłębów pary. A duszę jego myśl przebiegła:

— Teraz dziecię moje kładą do grobu.

Długo trwało nim się forma wypełniła po brzegi roztopioną masą, żaden jednak wypadek nie przerwał roboty; potok nie zboczył ze swej drogi i zapełnił formę, która nigdzie nie pękła.

Pawliczek, widząc że się wszystko pomyślnie udało i skończyło, zdał o tem sprawę dozorcy fabrycznemu i poszedł do domu.

Dawniej witała go na progu uśmiechnięta twarzycka dzieciny, teraz powitały go dwa smutne, boleścią zmienione oblicza.

Nastał wieczór, nieskończenie długi wieczór, a po nim noc ciężka, bez snu a jednak pełna widm gorszych, niżli sny najgorsze.

Po kilku dniach zaledwie dopatrzył Pawliczek na kamizelce przyjaciela ów wytarty, bawełniany sznurek, zastępujący znany złoty łańcuszek. Żona też jego dostrzegła, że pisarz znowu nosi swój staroświecki tombakowy zegarek.

I domyśleć się oboje nie mogli, czemu i jak zniknęły tak nagle jego złoty zegarek i ozdobny łańcuszek.

Po kilku ledwie miesiącach ośmielili się spytać o to swego przyjaciela, który znowu stał się jak dawniej milczącym i ponurym.

Lecz stary pisarz odpowiadał im tylko wzruszeniem ramion.

K O N I E C.

Potęga prawdy.

(C. d.) Detlew uczuł dreszcz w całem ciele, gdy Roman mówił dalej, oparty o poręcz krzesła i pochylony, jakby w samej rzeczy siedział tam ktoś niewidzialny, od kogo spodziewa się i oczekuje przebaczenia winy.

— Nie zmiękłem, nie upadłem na razie pod ciosem, przygniatającym mnie z nienacka. Hartowałem się przeciwnie jak stal w ogniu przeciwności, zmuszony patrzeć na ojca biednego, który w jednym roku z pięknego mężczyzny, wiodącego rej między najmłodszymi, zmienił się w starca złamanego, niedołężnego i rozpaczającego. Zaledwie przez protekcję możnych krewnych, którzy nas po prostu nie chcieli mieć na karku, a z drugiej strony nie mogli nam pozwolić zginąć śmiercią głodową, dostał ojciec posadę kontrolora w małej mieścinie. Patrzyłem na matkę, jak z łez nie osychając chudła, w oczach niknęła, aż przecież w grobie spokój znalazła... Tam wkrótce i ojciec się z nią połączył.... Sylwja, moja piękna, ukochana siostrzyczka musiała szukać miejsca w obcym domu jako nauczycielka.... Mnie krewni pomagali do ukończenia nauk. Utrzymanie nader skąpo było mi udzielane. Walczyłem najczęściej z niedostatkiem, często gęsto drżąc z zimna i z głodu przymierając...

Żadne stypendjum nie było dla mnie za wielkie; ale ile trzeba było się nachodzić i naprosić zanim się takowe otrzymało. Ileż razy trzeba było połknąć niegrzeczną odmowę, znieść ofuknienie się niedelikatne, i panować nad krwią młodą, mózg rozsadzającą, na tak krzyczącą niesprawiedliwość. Nareszcie wszystko to się przetrwało. Na mogile drogich rodziców, rosną i kwitną róże, naszemi rękami zasadzone i łzami sierot polane... i siostrze mojej biednej, nieźle się dotąd powodziło. Gdy i ja w końcu stanąłem na nogi o własnych siłach, i wyrobiłem sobie jakie takie stanowisko, powiedziałem z góry, iż nie chcę za żadną cenę znaleźć się kiedykolwiek w tak przykrych stosunkach. Byle nie zaznać braku na potrzeby codzienne, byle nie łaknąć chleba powszedniego! raczej spróbować innego rodzaju nędzy i upośledzenia męzkiej godności!... Zamiast pytać o serce... złota szukałem... Widzi pani — takim to sposobem, znaj-

dzie sie czasem brudny rachunek — w szafie na klejnoty.

Oglądnął się za Astą, o ile mu na to zmrok pozwalał, który zapadał tymczasem. Usunęła się na taburet, tuż przy wejściu do komnaty, jakby tejże progu nie śmiała przestąpić.

Fałdy grube zasłony gobelinowej i jej postać do pół przysłaniały. W ciemności rysowała się li konturem cokolwiek wyraźniejszym jej ręka biała, o kształtach arystokratycznych! Nią oczy przyciskała.

Chwilę czekał na odpowiedź, a żadnej nie odebrawszy, kończył tonem łagodnym, jak ktoś zupełnie przejednany:

— Teraz jasno w mojej duszy. Nietylko żalu nie czuję, raczej błogosławię rękę, która mi ów rachunek zdarty pod nogi rzuciła. Wskazała mi ona, czego mam pragnąć i gdzie prawdy szukać. Jej zawdzięczam, iż mogłem tu się pokazać, i mogę powiedzieć z czystem sumieniem: — Byłem się zatracił, ale odnalazłem siebie napowrót.

Detlew pomijajac wszelkie *decorum*, szlochał jak dziecko:

— Drogi, bohaterski przyjacielu! ta komnata do ciebie należy! — wykrzyknął głosem urywanym. — Powiedz tylko gdzie ci ją mam dostawić!

I znowu ugryzł się w język, niepoprawny marzyciel i entuzjasta, przypomniawszy sobie niskie i malutkie dwa pokoiki, stanowiące cały Romana apartament.

— Zachowam ją dla ciebie — poprawił się — skoro się gdzieś stale urządzisz. Na awans, *et la suite*, spodziewam się, iż już długo czekać nie będziesz. — Tę komnatę w dzień ślubu ci rad ofiaruję.

Poczciwiec, dziś wpadał wiecznie ze Scylli w Charybdę.

Roman atoli wzniósł się był po nad takie słabostki pospolite. Uściskał przyjaciela, z uśmiechem szczerym, z umysłem najswobodniejszym.

— Zachowaj komnatę baronie kochany, jako po mnie pamiątkę. Do ciebie ona należy, a dla mnie będzie to wielką pociechą wiedzieć, w jak szlachetnych rękach się znajduje. Ptaki wędrowne, do jakich ja się wkrótce zaliczę, nigdzie się na stałe nie osiedlają. — Nie można przenosić się z jednej półkuli na drugą, z całym taborem. Wyspowiadawszy się z win przeszłości, chcę państwa uwiadomić, o czem myślę na przyszłość. Potrzebuję szerszego zakresu, szerszego dla moich czynności widnokręgu, i czegoś licującego z moją siłą, energją i zdolnościami. Podałem się więc w Berlinie na posadę konsula. Spodziewam się iż wkrótce zostanę powołany, i gdzieś na krańce świata rzucony. Gdzie? — mniejsza o to! do Congo czy do Nowej Gwinei. Pójdę z dumą wytyczać nowe drogi, być pionierem cywilizacji, siać w koło światło i dobrobyt, gdzie dotąd li ciemności panowały, a ludy dzikie niczem prawie od zwierząt, się nie różniły. Nie mamy dóbr ziemskich i nie panujemy nad tłumem wazalów; do tego jednak możemy zawsze rościć sobie prawo, żeby iść naprzód gdzie grozi niebezpieczeństwo, żeby pracować wedle sił, na pożytek kraju własnego i całego społeczeństwa.

Uściskał dłoń Detlewa, przed Astą skłonił się nizko.

Zerwała się na równe nogi, a głowa, jakby w omdleniu opadła jej na piersi. Czyż go zmrok złudził, czy istotnie oczy jej były zaczerwienione?

Gdy Detlew powrócił, odprowadziwszy przyjaciela aż do bramy, w przedsionku nie zastał już nikogo. Asta czemprędzej na górę uciekła.

— Dobrze jej tak, ma czego chciała! Ten człowiek niezrównany, wzniósł się prawie w sfery nadziemskie i — przepadł dla niej na zawsze.

Detlew zmarszczył czoło w grube fałdy.

— A gdzie szukać źródła wszystkiego najgorszego? — spytał głośno sam siebie. — W tej przeklętej mamonie!

Tupnął wściekle nóżką, Krezus malutki.

Przyroda obmyła się nareszcie i oczyściła, z pleśni i brudów zimowych.

* * *

Niebo wyjaśniało się stopniowo; lazur był coraz ciemniejszy, słońce coraz bardziej dogrzewało; łączka nad ruczajem, pokryła się swieżą, gęstą trawką, a wierzby świeciły białemi kotkami, ulubioną dziatek zabawką.

Maks był na to wszystko zimnym i obojętnym. I rzeczywiście cóż go to obchodziło, albo jaką mógł z tego odnieść korzyść, że jak rok rocznie, wiosna nadeszła, że przyroda przyoblekła szaty godowe, utkane z zieleni i kwiatów, że woń dokoła rozkoszna i upajająca, że ptaszki wesoło świegocą? Dla niego życie nigdy już majem nie zakwitnie. Czuł się gorzej złamanym i zgrzybiałym, niż starzec ośmdziesięcioletni, któremu zostały może błogie wspomnienia z lat dziecięcych i dziś serce stygnące rozgrzewają. On niczego już sobie nie mógł przypomnieć, nawet dźwięku srebrzystego w głosie Marty, gdy do niego tak słodko a tak przekonywująco przemawiała. Żyć przestał od dawna, jeszcze tylko nędznie wegetował.

Jak automat maszerował na czele swojego oddziału; jak maszynka nakręcona i grająca o pewnych godzinach, tak on szedł bezmyślnie w czasie przez matkę naznaczonym do pałacu Löwensternów, gdzie z wiosną miały nastąpić w ogrodzie zimowym zmiany rozmaite. (C. d. n.)

Korespondencja redakcji.

J. A. P. Użyjemy.
A. L. w Przemyśln. Umieścimy później.
K. H. w Tarnowie. Nie kwalifikuje się.

„Drukarnia „Polska“ Lwów, ulica Jagiellońska l. 16.